

MIRANDOLA FRANCISZEK

ŚWIT

Mirandola Franciszek

Świt

http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=23545114

Świt:

Аннотация

Ciesz się klasyką! Miłego czytania!

Содержание

Конец ознакомительного фрагмента.

Franciszek Mirandola

Świt

Ciemno. Wysoko, na gankach, nad przepaścią podwórza miejskiego zawieszonych jedne nad drugimi, za dnia snują się codzienności, dudniąc obcasami, szmer spódnic dolata stamtąd... Teraz cicho. Deski tylko tu i ówdzie rozsunięte, tak iż z dołu widzisz przez szpary niebo, a w dzień, idąc gankiem, patrzysz ze strachem wprost w kałużę, nisko pod tobą na ziemi.

Ciemno. Nie głosi życia ruch ni szmer ciągły, który jest za dnia bytu znamieniem... ciemno, czerń zaś ta, zda się, leży wprost na piersiach twoich, jak ziemia na rzuconym w dół i zasypianym psie bezpieczeństwa.

Ciemno. Nie wybiła godzina wstawania nowych radości, a czarność leczy rany wczorajsze... chowa pomarłe stworzenia... dobra jest bowiem dla tych, co już wyrosli spod opieki słońca... dojrzeli do WIELKIEJ PODRÓŻY.

Ciemno. Ale choć oczom, co mają po ziemi szukać swych pożytków... uciech... i miłości, światła za mało, patrzmy, czy na bezjawej pustaci nie zalśni tu kędyś ślad PRZEWODNIKA.

Nad miastem wysoko Bóg-Orzeł przed świtem, Bóg-Orzeł mocny, dalekowidz nad dalekowidze wisi na rozpostartych skrzydłach i patrzy.

Nim świat się z nicości wychyli, idzie z dołu niby oddech

śpiącego, gorąca fala, mdła, niemiła.

Linie zaczną nabierać znaczenia, staną się znakami, z plamy wstanie kształt, rzecz żywa, stwora śpiąca albo rzecz, co kryje w sobie żywe.

On, patrzący z góry, wie dobrze, że to wszystko jeno symbol. Kontur światłem określony, plam parę. Tajemnica na przykład słońca przez to, że na nią patrzymy co dnia, nie staje się dzięki temu jasną... my jeno, my patrzący kujemy słowa i stajemy się dewotkami, co skutkiem częstego sypiania po kościołach mniemają, iż mogą z familiarnym uśmiechem patrzeć, jak się w rękach kapłana dokonywuje przemiana prochu ziemi w BOGA żywego...

On też patrzy, chcenie swe twórcze odsunawszy ręką od działania, jak się odsuwa natrętne dziecko. Patrzy na zjawę błędną, co dziwną, zygzakowatą drogę zakreśliwszy, od wczoraj spadła ot tu... po wiekach czy sekundach, nie wiadomo... pod bramę kamienicy dotąd zamkniętą¹ i drżąc ze zimna, przytulona u proga czeka... czeka smutnie, by wpaść co żywo... co żywo... i nie płacąc ODŹWIERNEMU-LOSOWI, który otworzy skrzypliwe wrota, co prędzej wbiec na schody... po dwa... po... trzy... skacząc do siebie do łóżka... do codzienności, watowanej cichością półmroczną, do spokoju, odrętwienia.

On się nie złudzi niczym, choć wnet się „życie” wynurzy, to jest to, co ja, ty, on, my, wy, oni... zwiemy znanym i bliskim...

¹ zamknięty (daw.) – dziś: zamknięty. [przypis edytorski]

my, kiepscy astronomowie, co nie świadomi pokrewieństwa gwiazd, tworzymy konstelację pozorów, fakty, majaki, nicość na nicości, głuszę w milczeniu, ciemń na czerni... słowa.

Coś leci pustymi ulicami. Coś tętni donośnie, pogłos wzrasta... przybliża się.

Jakiż to wczesny znak życia?

Nie jest to pewnie wóz-śmietnik, bo dzwoni inaczej, sunie powoli... wiedząc, że co krok zatrzymać mu się trzeba, by nowe brzemień nabrać na się.

Nie pora mu zresztą jeszcze. Jeszcze ciemno i wóz śpi cicho, czyściuteńko wymieciony z wczorajszych obrzydliwości...

Coraz to głośniejszy tętent. To podkowy. Koń leci po nierównym bruku... rzuca się naprzód jak ryba we wodzie... pędzi wśród nocy.

Mignął w kopącym świetle latarni dalekiej cień i poszła od zaułka do zaułka pogłoska:

Na rozpędzonym koniu, jeździec... do ciała przywiązany duch... duch jeszcze przed chwilą promienny, teraz poczerniały jak ośniedziałe złoto.

Lecą. W omdlałym ręku ducha nad ranem zwolniały wodze, czy chciał może doświadczyć siły swej... i uległ? Nie wiadomo. Koń niesie jeźdźca. Ratunku nie ma... Noc... ciemno... pusto... ni żywego człeka...

Pędzą... tam... ku... rzece... czy dokądś...

Może w ostatnią przed świtem kałużę użycia, świadomi, iż

powstydzic się przyjdzie słońca...

Nie. Pędzą w dół, ku rzece... Niechby się wreszcie bestia i zatopiła... rzeka się dziwnie szybko sama oczyszcza... ale duch... duch... kto odwiąże ducha?

Łomocą po bruku podkowy, odbłysek skier krzesanych dolata... niszczała cała cisza przedświtowa. Błądny tułacz pod progiem, który śnił o domu, nie mając czym doń wejścia opłacić, zbudził się i uczył, że zimno, że bardzo zimno... Huczy po ulicach przeraźnie², a echa echem podają gryzące, pilne pytanie:

Ale duch... duch... kto odwiąże ducha?

—

Zza węgła domu, ze szpary pomiędzy murem a parkanem ogrodu wypełzło coś. Leciuteńkie, szarawe tony przyłgnęły już do ścian, choć na niebie zmian nie widać wyraźnych ku jasności. Zda mi się, widać łeb. Wieczysty, pretensjonalny żal, jaszczur zielony powraca z łowów nocnych.

Rusza się, miele zuchwami jaskry, stokrocie... Jada wszystko, mówią... wszystko, co się zjeść daje, tylko baczy, by nikt nie widział... przecież on „żał”.

Widzę go. Napęczniały, opity wodą, lśniący stoi w niepewnej, rodzącej się poświacie, u okienka piwnicznego i czeka na coś.

Jeszcze noc... jeszcze się liczy noc, jeszcze nikt nie widzi, że oto nażarł się znowu, że syty i dlatego to nie ginie... żyje ciągle, ciągle...

² przeraźnie – dziś popr.: przeraźliwie. [przypis edytorski]

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.